

Mój pierwszy raz, czyli wianek, wianek i po wianku...

portret w zastygłym wianku

*było raz okno samotne
wśród niezliczonych dachów
i poplątanych anten miasta*

wyglądało wprost na niebo

*za szybą malarz wydobywał
z nagiego płótna bez ram
mój ostatni dziewczęcy portret*

rysunek twarzy

czoło

oczy...

czy zakochane? jak tylko mogą być...

oczy

i usta

usta raz po raz poprawiane

wytrawnym szałowywaniem

usta

i włosy?

włosy

coraz bezwstydniej rozczochrane

włosy rozczochrane

jest takie okno samotne

otwarte wprost na niebo

gołębie znają ten adres

za popękaną szybą

majaczy dziś wspomnienie

portretu w zastygłym wianku

*

Kraków, 6.2.1972 / Zurich, 23.7.00

Nie da się opowiadać o czynności w swojej istocie intymnej bez pogwałcenia tej intymności. Jest to trudność nie do pogodzenia, paradoks typu kwadratura koła lub po prostu sprzeczność sama w sobie. Jeśli mimo to podejmuję się tego zadania, to dlatego, że lubię (sobie stawiać) wyzwania mierzenia się ze słowem w celu opisanego przeżycia w ogóle a ze swej natury nieopisywalnego, jak tu, w szczególności. Tak, wiem, wiem, można wszystko opisać, a więc i akt inicjacji seksualnej: po bożemu, metaforycznie, anatomicznie, wulgarnie... ale tak czy tak język nie wytworzył odpowiedniego wokabularium w tej dziedzinie właśnie dlatego, że akurat tam sięga z niejakim trudem, bo usiłuje się wepchać "między usta a brzeg pucharu", gdzie, owszem, jest język, ale ten fizyczny, nie abstrakcyjny. To już prędzej obraz, film, fotografia, rzeźba...

I mam na myśli dzieła artystów wymienionych sztuk, a nie pornografię będącą z założenia gwałtem na intymności produkowanej w celach wymiany stymulacji seksualnej za pieniądze, transakcją handlową. Czym innym bowiem jest seks skomercjalizowany będący specyfiką rodzaju ludzkiego, częścią kultury erotycznej *homo sapiens* (tu: bez oceniania jak wysokiej i jak niskiej), a czym innym instynktowny właściwy całej naturze a istniejący po to, by życie żyło dalej i dalej, a więc zasadniczo dla przedłużenia gatunku, zapewnienia "samolubnemu genowi" względnej nieśmiertelności. W wyrażeniu "względna nieśmiertelność" też czai się paradoks, ale skoro nie wiemy, czy wszechświat jest skończony czy nieskończony, to i nie wiemy nic na temat nieśmiertelności życia jako takiego i nie o ducha mi chodzi, a o ciało.

Tak, chodzi o ciało, zanim jednak przejdę do ciała... ciało... jeszcze o języku. W książce "Dziki seks" autorka Carin Bodnar i w równym stopniu tłumaczka Agnieszka Sobolewska nieźle się nagimnastykowały, żeby opisać zaloty i akty seksualne w świecie zwierząt w sposób wystarczająco rzeczowy i obrazowy a zarazem na tyle giętki i subtelny, żeby docierając do sedna rzeczy nie odrzucał. Tytuł polski "Dziki seks" może być nieco mylący, nie chodzi bowiem o jakos tam wyuzdany seks międzyludzki, a o seks w naturze, a nawet naturę seksu. Tytuł oryginalny brzmi "The Nature of Sex". Podtytuł polski to: "Niesamowite, zaskakujące i absolutnie porażające fakty z życia intymnego zwierząt". I tu też polska tłumaczka nieco odleciała, bo tytuł angielski jest znacznie bardziej powściągliwy: "The Ins and Outs of Mating in the Animal Kingdom" ("Sekrety pożycia w królestwie zwierząt"), ale niech jej tam, polski podtytuł dotrzymuje co zapowiada.

Ciekawe, że natura zadbała o wszystko, obok niewyobrażalnej wręcz różnorodności, którą dopiero powoli poznajemy mając narzędzia do podglądania i rozumienia, domyślania się zachowań zwierząt, po nadzwyczajną skuteczność aktu płciowego przy równoczesnym dużym rozmachu kultury seksu w świecie ludzkim, czym od strony teoretycznej zajmujemy się też od całkiem niedawna, jeśli pomyśleć, że budowę cząstki DNA, kluczowej w rozmnażaniu się żywych istot, mającej formę podwójnej helisy, odkryto dopiero w 1953 roku, a ujrzano ją w 2012 roku. Gdy naukowcy z Cambridge, James D. Watson i Frances H.C. Crick, w kwietniu 1953 roku opublikowali artykuł o budowie DNA w piśmie "Nature", ja już właśnie istniałam w postaci maleńkiej grudki szybko namnażających się komórek, w których dokonywał się tajemniczy proces powstawania nowego życia podobnego trochę do ojca i trochę do matki, mojego taty i mojej mamy. Jako że urodziłam się 14 grudnia 1953 roku, lubię myśleć, że poczęłam się w wyniku ogólnej euforii po śmierci Stalina 5 marca 1953 roku.

Moi rodzice pobrali się w grudniu '52 roku, nie brałam więc udziału w ich decyzji o ślubie, byłam też dzieckiem chcianym, więc nie musieli się obawiać nieplanowanej ciąży, wręcz przeciwnie, mogli się cieszyć sobą bez lęku, że zostaną niechcący wpakowani przez naturę w rodzicielstwo, o co zasadniczo naturze przecież chodzi. Bo właśnie to - niechciana ciąża - jest główną bolączką ludzi chcących oddzielić przyjemność płynącą z seksu od przymusu wydania na świat potomstwa chcą, czy nie chcą. Moi rodzice byli więc w tej komfortowej sytuacji, że tu "chuć zbiegła się z chęcią" całkowicie zgodnie z naturą. Sorry za słowo "chuć", ale wraz z "chęcią" tworzy się taka zgrabna aliteracja, że nie mogę się powstrzymać.

I jak już jesteśmy przy powstrzymywaniu się: natura swoje a kultura swoje. O ile naturze nie zależy na powstrzymywaniu instynktu, który sobie stworzyła po to, by działał, o tyle ludzie widzą to zgoła inaczej. Zwłaszcza co się tyczy młodych wchodzących w dorosłe życie ludzi: a to za wcześnie, a to nie bez ślubu, a to jedno chce, drugie się boi, a to ma się czego bać, bo któż jest tak świetnie uświadomiony i przygotowany, że od pierwszego razu wie, czego chce, czego się spodziewać i w ogóle co to będzie, co to będzie? Bo ledwie wybiło mi 18 lat, a już poczułam z całą mocą zew natury (inni mówią o "woli bożej", cóż, jak zwał tak zwał), i tylko wybranie odpowiedniego partnera powstrzymało mnie nieco przed pójściem na żywioł.

Czy byłam przygotowana i w jakim stopniu? Z pewnością od strony uświadomienia mnie mama zrobiła co należy, a nawet znacznie więcej, jeśli pomyśleć, że w tamtych latach uświadamianie dzieci i młodzieży to nie była oczywistość, a mama wprowadzała mnie w tajniki zagadnienia "skąd się biorą dzieci" i "po co nam tata" sukcesywnie odkąd zaczęło mnie to interesować. Moja mama była pod tym względem nie tylko sama świadoma powagi tematu, ale też wyjątkowo nowoczesna, żeby nie rzec pionierska. W domu były odpowiednie lektury, nieliczne, bo wtedy w ogóle literatura o życiu seksualnym była jeszcze skąpa, ale co się ukazywało na półkach księgarskich, trafiało i na nasze domowe półki i nikt mi nie bronił czytania co chciałam. Do tego dr Michalina Wisłocka publikowała swoje uświadamiające teksty w "Kobiecie i Życiu" nim napisała "Sztukę kochania", obok "Przekroju" ulubionym piśmie mamy. Mama czytała, ja czytałam, kwestie sporne przedyskutowałyśmy tak na inne, jak i na ten temat.

Poza tym miałam za sobą już swoje dziewczynskie doświadczenia, zakochania, lekcje całowania... No i powieści, filmy, telewizję... Zewsząd docierały do mnie najróżniejsze informacje, w I klasie liceum przeczytałam "Zmory" Zegadłowicza, także w tym samym czasie "Dekameron" Boccaccia, oraz "Śmiech Afrodyty" Petera Greena, fikcyjną biografię o Safonie i jej wielkiej miłości do Chloe. W III klasie zapoznałam się z "Mandarynami" Simone de Beauvoir i z autobiografią Isadory Duncan. Z filmów szczególnie zapadła mi w pamięć ekranizacja "Romea i Julii" w reżyserii Zeffirellego, głośno było o niej zanim weszła na ekrany, głośno było i potem, a ja ją widziałam będąc dokładnie w wieku Julii. Bardzo mnie poruszyła tragiczna historia młodych kochanków. Z "Mojego życia" zaś zapadła mi w pamięć opowieść Isadory Duncan o jej pierwszym razie - w pracowni jakiegoś artysty. To mi się podobało. To *by* mi się podobało!

Ach, artyści! Świat artystów, poetów, aktorów, malarzy to był świat, który mnie pociągał, film, teatr, wystawy... Kraków był miastem sztuki, kto chciał, miał pod dostatkiem kontaktu z kulturą i ludźmi, którzy ją tworzą. Sama zamyslałam najpierw pójść na ASP a potem do PWST, prywatne lekcje dawał mi stary aktor (malarz i poeta) Jan Niwiński, ten, który przygotowywał młodziutką Małgosię Dziadyk do egzaminu, dziś znaną jako Anna Dymna... Poznałam też wtedy, w ostatniej klasie liceum, artystów-plastyków, studentów i absolwentów ASP. Jeden spodobał mi się nadzwyczajnie. Nie dość, że artysta z dyplomem krakowskiej ASP, to jeszcze pięknie zbudowany, płowa broda, wąsy... jak u Wyspiańskiego! No! "Wola boża" przypuściła szturm. Poznałam go w połowie stycznia 1972 roku, miesiąc po moich 18 urodzinach. Artysta okazał się jak najbardziej zainteresowany, co natychmiast wyraził zaproszeniem mnie do swojej pracowni w celu sportretowania mnie. Prawda, że to oryginalniejsze, niż kolekcja znaczków i płyt? Prawda! Więc zaproszenie z radością przyjął.

I odbywało się to następująco: wdrapywałam się na ostatnie piętro kamienicy w przecznicy od Długiej, gdzie "mój artysta" miał swoje niewielkie mieszkanie wraz z pracownią pełną obrazów i rysunków tuż obok strychów. Na sztalugach umocował karton, siadałam pod oknem wmontowanym w dach z widokiem na niebo i zaczynało się rysowanie. Oglądał mnie ze wszystkich stron, zbliżał się i oddalał, coś dorysowywał, coś poprawiał, robił dwa kroki w tył (więcej miejsca nie było), sprawdzał przekrzywiając głowę, mrużąc oczy i zagryzając wąsa, znowu mnie obtańcowywał, machał ołówkiem, zbliżał się do mnie, wpatrywał, a we mnie wola boża aż kipiała. W nim najwyraźniej rezonowało to, bo po każdym seansie oddawaliśmy się coraz śmielszym pieścizotom i znowu umawialiśmy się na następny seans.

Trwało to dość dokładnie trzy tygodnie, portret coraz bardziej przypominał mnie, a ja coraz bardziej przypominałam sobie o tym, że doskwiera mi cnota i trzeba z tym coś zrobić. Artysta nie nalegał, wiedział już, że trafił na najprawdziwszą w świecie dziewicę, sam 7 lat starszy, doświadczeńszy, też się pewnie delektował sytuacją. Ja tymczasem z seansu na seans postanowiłam się nieco przygotować, co też zrobiłam, a oznacza to, że

ni mniej ni więcej "testu prześcieradła" ostatecznie bym nie zdała, gdyby komuś przyszło do głowy takowyż przeprowadzić (jak to drzewiej, ale chyba tylko z księżniczkami bywało, a może tylko w bajkach? no, dość na tym...).

6 lutego 1972 roku miał się okazać dla mnie datą ostatniego seansu do portretu i ostatecznego przejścia ze stanu niewinnego dziewczęcia w stan kobiety. Seans był krótki, bo w końcu krew nie woda, ale dzień był długi, bo była to niedziela. Woli bożej stało się zadość... "Testu prześcieradła" w rzeczy samej nie przeszłam, co z kolei zdumiało mojego pierwszego kochanka ("kiedy? na Boga? z kim? przecież?..."), ale uspokoiłam go, w końcu całe dzieciństwo byłam baletnicą, a poza tym czy musi się martwić czymś, czego i tak już nie ma? Mój portret pozostał na zawsze niedokończony, tak wyglądałam w ostatnich chwilach "w wianku". Długo stał na sztalugach, a ja przychodziłam już tylko na seanse w pościeli artysty.

Tak, był zaopatrzony w kondomy, które dyskretnie wyjmował z kieszonki marynarki, ja zaś dyskretnie odwracałam wzrok, byłam wszak jeszcze niedawno dziewicą, nie, w gruncie rzeczy nie byliśmy w sobie zakochani*, w wierszu posłużyłam się w tym punkcie licencją poetycką, też w wierszu "płótno" to był w rzeczywistości karton, cała reszta to prawda jak na spowiedzi, prawdą też jest, że pożądaliśmy i to przemożnie się aż do wiosny, na 8 marca, Dzień Kobiet, dostałam od niego obraz pt. "Lądowanie" z piękną dedykacją, mam go do dziś, to było wyjątkowo udane lądowanie, lepiej sobie nie mogłam wymarzyć, Isadora okazała się dobrą przewodniczką z zaświatów.

*

* *

Krystyna Janda zrobiła kilka lat temu sztukę pt. "Mój pierwszy raz". Nie widziałam jej, niestety, ale z recenzji wynika mi że są spore różnice między wtedy a dziś, wtedy pamiętam dość dokładnie: nie mówiło się wtedy tyle o seksie, już samo użycie tego słowa wymagało pewnej zuchwałości. Nie używało się też wulgaryzmów. Żadnych. Nawet wśród artystów. W każdym razie nie w mojej obecności. Nie było internetu, więc nie było też tyle łatwo dostępnej pornografii. Nie było forum, na którym można by było dyskutować o "pierwszym razie". Natomiast, mam takie wrażenie, flirt miał się lepiej. A może miałam tylko szczęście?